



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Halina Retelska

Trwałe znamię

Pierwsze moje życiowe wspomnienie to scena, kiedy leżę z Mamą na podłodze, a Tatuś rzuca na nas pierzynę i polewa wodą. Straszny huk! Pociski „biegały” po mieszkaniu przestrzeliwując meble. Działo się to w pierwszych dniach września 1939 roku w Starachowicach. Tatuś pracował wówczas w tamtejszej fabryce amunicji. Ten moment był dla mnie widocznie strasznym wstrząsem, skoro go tak wyraźnie zapamiętałam.

Jakiś czas później znalazłam się z rodzicami w ilżeckich lasach. Tatuś był w partyzantce, a mamusia zbierała broń po Niemcach i dostarczała do jego oddziału. Byliśmy tam do późnej jesieni.

Kolejne wspomnienia dotyczą roku 1942. Przebywaliśmy wtedy w Kunowie koło Ostrowca Świętokrzyskiego. Tatuś pracował w gminie, zajmując się m.in. kolczykowaniem wybranych przez Niemców sztuk bydła czy trzody. Często przychodzili do nas różni panowie i często też tatuś nie wracał do domu na noc. Podobno razem z partyzantami przebywał na Bukowskiej Górze. Mamusia opiekowała się wtedy już trójką dzieci. Wieczorem i w nocy nie wolno było zapalać światła, toteż okna były zasłonięte podwójnymi kocami. Wiele razy późną nocą dobijali się do drzwi Niemcy. Towarzyszył im Polak, od którego dostawaliśmy bułki. Niemcy bili i kopali ojca, przystawiając mu karabin do głowy. My, dzieci krzyczałyśmy, całując ich po butach i prosząc, by przestali bić, a oni wołali, że to szpieg, bo zamieniał kolczyki, zakładając je gorszymi sztukom. Dodatkowym argumentem było miejsce urodzenia tatusia – Odessa. Po ich wyjściu mamusia wciągała tatusia do mieszkania, układała na posłaniu i obmywała mu twarz z krwi.

Jako 5 i 6-letnie dzieci opiekowaliśmy się z bratem naszą dwuletnią siostrą, bo mamusia ciągle gdzieś wychodziła na czaty lub ucierała ziarna w żarnach na chleb czy placki, które następnie w zapasce gdzieś wynosiła. Tatuś często czuł się bardzo źle, ale pracował.

Kiedyś Mamusia przyprowadziła do domu 7-letnią kulawą dziewczynkę, którą według jej relacji zostawili na ulicy rodzice wyjeżdżający na ochotnika na roboty do Niemiec. Tam kulawych nie chcieli. Dziewczyna była bardzo pogodna i szybko się z nami zżyła, toteż kiedy przyszła po nią babcia nie chciała od nas odejść, chowała się i krzyczała. Pozostała więc u nas do 1953 roku, czyli do momentu wyjścia za mąż. Jej rodzice nigdy się po nią nie zgłosili. Dziewczynka pomagała mi i bratu nosić wodę ze studni. Mamusia wtedy była jeszcze częściej zaangażowana w pomoc partyzantom, a i brat jako sześciolatek nosił jakąś korespondencję do lasu i z powrotem. Ja w tym nie uczestniczyłam, gdyż po wcześniej opisanych nocnych wydarzeniach byłam przewrażliwiona i na odgłos jakiegokolwiek stukania, pukania czy podczas wieczornych odwiedzin krzyczałam i chowałam się do szafy, pod łóżko

lub na piec. Do dziś każde choćby ciche z zaskoczenia odezwanie się czy stuknięcie wywołuje u mnie lęk.

W Kunowie w czasie wojny mieszkało wielu Żydów. Chodziłam do nich po sacharynę i zapalać świecę, za co częstowali mnie słodką zupą rybną. Jednej nocy słyhać było krzyki, mocne uderzenia do drzwi. Tatusia nie było wtedy w domu, a mamusia nie pozwoliła nam wychodzić ani otwierać. Sama też nie wychodziła, chociaż krzyki trwały do rana. To Niemcy wypędzali Żydów z domów. Tej nocy zginął jeden z mężczyzn, którzy do nas przychodzili.

Mamusia bała się odtąd mieszkać w Kunowie, więc zabrała nas czworo do swej mamy do Prusinowic koło Gór Świętokrzyskich. Mieszkały tam w dwóch izbach cztery rodziny, w tym sześciu dorosłych i dziewięcioro dzieci. Dzieci spały w okopach, tzn. dołach wykonanych pod zabudowaniami gospodarczymi z przejściami do obiektów sąsiadów. Była to ziemia częściowo wyłożona słomą. Za posłanie służyła słoma i pościel. Czasem nocowali z dziećmi w okopach partyzanci, którzy dopominali się o jedzenie. Mamusia dostała od swej mamy pół morgi ziemi i w czasie okupacji w 1944 roku rozpoczęła budowę domu w Boleszynie, z belek, tzn. nie ciętego drzewa. My z bratem zbieraliśmy po polach kamienie na fundamenty, a później przynosiliśmy z lasu mech, który maczaliśmy w rozrobionej wodą glinie i zatykaliśmy dziury między belkami. Dom złożony z jednego pokoju, pokryty był przez sąsiada powykrecaną słomą. I tak Boże Narodzenie w 1944 roku spędziliśmy we własnym pokoju w siedmiu, bo była z nami jeszcze babcia ze strony taty. Sypialiśmy na podłodze z ziemi, na słomie. Później tatuś zbil drewniane łóżka i wyszykowaliśmy jeszcze jedną izbę na kuchnię z piecem chlebowym i komórką, w której pod podłogą z desek był składany węgiel. Później zajęli dom Niemcy, a my znów sypialiśmy w komórce z węglem na słomie. Nie było drzwi w tych pomieszczeniach. Otwory zasłaniane były derkami. Do palenia pod kuchnią i w piecu nosiliśmy drzewo z lasu. Do domu wchodziło się po kamieniach, bo nie było schodów. Tatuś cały czas pracował w Kunowie. Sypiał w biurze w gminie. Czasem przychodził do domu (9 kilometrów). U sąsiadów za drzwiami w sieni były przykryte derką żarna. Chodziliśmy tam z bratem kręcić korbą 2-3 kilogramy ziarna na chleb i parkę (parzona mąka). W piecu Mamusia piekła chleb, a wtedy było w domu ciepło. W komórce przy domu chowali rodzice kozę, aby mieć dla nas mleko.

Niekiedy udawaliśmy się z bratem do pobliskich wsi kręcić w kieracie rzepak na olej. W tym czasie kilka razy ostrzeliwani byliśmy z samolotów. Kryliśmy się wtedy w bruzdach lub krzakach ziemniaczanych. Brat chodził też do wsi z jakimiś papierami, listami itp. Nie wolno mu było nikomu nic mówić, gdzie był i co nosił – nawet mamusi. Znów zaczęli się tu pokazywać jacyś panowie, którzy nocowali w stogach siana. Często słyhać było o łapankach. Mamusia znowu wystawała na czatach, bo na strychu zatrzymywali się u nas działacze konspiracyjni, którym zanosilałam posiłki. Kiedyś przyszedł do nas niemiecki żołnierz i wszedł za mną po drabinie na górę. Obszedł komin, rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie zauważył. Raz przez nieuwagę zdarzyło mi się spaść z drabiny prosto do komórki, a jedną nogą do piwnicy z węglem, w której spaliśmy. Bardzo się potłukłam i pokaleczyłam o duże gwoździe powbijane w ścianę zamiast wieszaków. Leżałam w tej piwnicy kilka dni. W tym czasie jakiś Niemiec założył mi opatrunki. Niemców przyprowadzał do nas jeden Polak. Namawiał ich, aby zabrali mamusię do prania lub gotowania, ale oni nie chcieli z powodu małych dzieci, którymi się opiekowała.

Niemiecy żołnierze mieszkali u nas do 17 stycznia 1945 roku. Tego dnia nie mogli się połączyć telefonicznie z dowództwem, więc wpadli w popłoch. Powywracali wszystko w całym mieszkaniu, zabierając cywilne ubrania męskie. Mundury i broń porzucili. Kazali sobie upiec chleb, zabrali resztę zboża, a na koniec wystrzelili jeszcze z dział ustawionych wokół domu. Huk był tak wielki, że z okien powypadały wszystkie szyby, popękały ściany, rozleciał się piec i zapadł dach. I znów zimą zostaliśmy bez niczego. Kilka godzin po odejściu Niemców na saniach ciągniętych przez psy wjechali Rosjanie – kobieta i dwóch mężczyzn w kozuchach. Wieźli ze sobą armatkę. Był to dla nas koniec wojny, ale nie koniec koszmarów. Skutki okupacji odbiły się na zdrowiu całej mojej rodziny. Jej skutki odczuwamy do dziś. Mój brat i ja od wczesnego dzieciństwa cierpimy na bóle w stawach i zwyrodnienie kręgosłupa, wciąż mamy różne lęki, zjawy, jesteśmy bardzo przewrażliwieni. Ja dodatkowo mam problemy z sercem. Mój mąż, żołnierz AK, dwukrotnie ranny w obronie Okęcia i Fortów Czerniakowskich, był inwalidą wojennym. Tatuś – wielokrotnie bity przez hitlerowców – przez 28 lat cierpiał na bóle krzyża i brzucha, a ostatnie trzy lata życia spędził na wózku. Mamusia też miała problemy ze zdrowiem. A całą moją rodziną musiałam się opiekować ja sama, chociaż od 41 roku życia jestem na rencie.